TYGODNIK ILLUSTROWANY

№ 33. Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 30 kwietnia / 12 maja 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Wit Stwosz, rzeźbiarz krakowski (z cztérema drzeworytami). — Kronika tygodniowa.—Kronika sztuk pięknych.— Kaplica nadworna królów czeskich na Hradszynie w Pradze (z drzeworytem). — Kto winien? kilka myśli o stanowisku społeczném kobiét.—Korrespondencya od redakcyi.— Anula, powieść wiejska przez J. Laskarysa (z dwoma drzeworytami).—Szachy i rebus.

WIT STWOSZ.

RZEŹBIARZ Z KRAKOWA.

Mało jest w przeszłości postaci, o którychby więcéj jak o Stwoszu w czasach ostatnich pisano, a mimo to przyznać trudno, aby rzeźbiarz ów i dzieła jego powszechnie znanemi były. Nawet poemat Wincentego Pola,. Listy z Krakowa Kremera i badania tylu uczonych (1) głośnych imion, nie zdołały z mieszczańskiém nazwiskiem naszego snycerza zaznajomić narodu. Co przyczyną tego: czy że nasza szlachecka tradycya bliższa szabli jak pędzla i dłuta, czy względność dla Niemców znajdujących w rzeźbach Stwosza charakter ich szkoły; czy wreszcie brak rozpatrzenia się i rozmiłowania w utworach jego, zkądby mistrzowi sława spłynęła?

Odpowiedź w téj sprawie znajduje się w piśmie niniejszém; a pragnąłbym, aby gdy tyle już studyów, rozpraw i polemik napisano, pomyślał kto o albumie dzieł krakowskiego mistrza, publikując je w sztychach lub chromolitografiach. Wtedy sądu i uznania ogółu prędzéj spodziewać się można; utwory bowiem snycerza inaczéj jak przez oczy nie trafią do duszy. Nietrudne to zadanie, bo zebrać tylko wypadnie istniejące na kamieniach litograficznych, blachach i drzeworytach krajowe i zagraniczne wydania Stwoszowskich rzeźb, a rozkupu i krytyki nietylko od nas, ale od całéj czekać możemy Europy. Toć w Niemczech więcéj jak w Polsce o Wicie pisano, ceniąc prace jego. Wydawnictwa takiego spodziewać się nam wolno po panu Rastawieckim, wspólnie z niemieckim archeologiem Rettbergiem. Oni wyjaśnili ostatecznie postać Stwosza, więc do nichby należało postawić mistrza w obec ojczyzny jego, świata sztuki i narodu, wśród którego zatrute prześladowaniem życie zakończył.

Nie chcąc się powtarzać, odsyłam czytelnika do dawniejszych pism moich, (1) a tutaj pokrótce o Stwoszu wspomnę, z okazyi pięknych drzeworytów, jakim redakcya Tygodnika artykuł ten ozdobiła.

Stwosz urodził się w Krakowie między r. 1438 a 1447, z rodziców w témże mieście zamieszkałych, a wiodących pochodzenie swoje ze Spiża, z okolic Bardyowa. Wit sam podpisywał się zawsze tak, jak go tu zwiemy, a Niemcy tylko przekręcali miano jego na Stoss, Stuos i t. p. Z tém słowackiém nazwiskiem często w XV stuleciu spotykamy się w aktach miejskich krakowskich, znajdując rodzinę Stwoszów, na długo przed pojawieniem się Wita, w Krakowie osiadłą. Nasi i obcy uczeni nie napotkali śladów, aby Stwosz gdzie po za Krakowem kształcił się w sztuce swojéj; owszém w tém mieście wychowany i ożeniony, stale do 53 roku życia tam zamieszkiwał, zdobiąc katedrę, znakomitsze świątynie i mieszkanie królewskie. Umiano téż cenić artystę, hojnie go płacąc i uwalniając od podatków, a dając starszeństwo w radzie i cechu malarzy.

WIT STWOSZ, RZEŹBIARZ KRAKOWSKI.
Rysował Polkowski podług A. Lessera, rytował G. Röber w drzeworytni Tygodnika.

Pod te czasy pracował także z uczniami swemi na Spiżu, gdzie wykonywał snycerskie roboty do kościołów: w Bardyowie, Lewoczy, wsi Kościelnéj (Kirchdorf) i Bystrzycy (Neusohl). Po roku 1495 zostaje osiadłym w Norymberdze mieszczaninem, owdowiawszy żeni się z Niemką, a współcześni mu cudzoziemcy, widząc roboty jego, sławią biegłość mistrza z Krakowa (1).

Tu smutne wiedzie życie nasz rzeźbiarz, zwodząc walki z zazdrością i oszczerstwem, aż gdy roku 1503 w listopadzie, radni norymberscy, z Antonim Tucherem na czele, związać Stwosza polecają, badając go torturą w sprawie rewersu, który wydał Jakubowi Bannerowi. Tegoż roku w grudniu orzeczono, że dokument sfałszowany, a Stwosza piętnowano na obu policzkach, odbiérając mu wolność wydalania się z miasta.

Pan Rastawiecki, zebrawszy na miejscu wszelkie akta sprawy téj dotyczące, ogłosił jéj szczegóły, dowodząc: iż Banner i Starzedel, dwaj szalbierze, mając po sobie radnych, stali się przyczyną nieszczęścia i prześladowania snycerza naszego. Biskup wirtzburski, książę Wilhelm landgraf heski, Reinhard hrabia Hanau i wielu ze szlachty, ujmując się za Stwoszem, naglą norymberską radę do tłumaczeń; przecież mieszczanie ślizgiemi listy wymykają się z postępku swego, a Witowi nie chcą nawet pozwolić ogłoszenia publicznie, że cesarz rzymski przywrócił mu cześć i prawa. Owszem, pisze doń r. 1506 rada owa: „iż nie będzie się potrzebował lękać jéj niełaski, jeśli z mandatu cesarskiego nie zrobi użytku.“ W jakie zaś drażliwości weszli radcy z powodu téj sprawy, dowodzi zapiska w ich księgach pod r. 1508: „Stwosz, obywatel popędliwy, bezbożny i krzykacz, nabawił gminę naszę niepokoju.“ Przecież mimo to nie chce Norymberga pozwolić owemu bezbożnikowi, aby się z niéj wydalił, a zapisują następnie ciż rajcy w dokumentach swoich: „Mistrz Wit, dziwnie stateczny, pilny a miłościwy, z roboty po wszystkiém chrześciaństwie słynie.“

Te smutne przygody dały treść poematowi Pola

(1) Prócz Pola i Kremera, pisali o Stwoszu i rzeźbach jego: Ambroży Grabowski, F. M. Sobieszczański. E. Rastawiecki, J. Muczkowski, B. Podczaszyński; z obcych: Neudoerffer, Wagenseil, Doppelmayr, Murr, Fuessli, Bruillot, Fiorillo, Bartsch, Heller, Kugler, Waagen, Heideloff, Nagler, Wagner, Rettberg i wielu innych, pomijając artykuły po dziennikach i dykcyonarzach artystycznych i archeologicznych. Pisarzom naszym znane są te źródła, a ciekawy znajdzie je zacytowane w pismach p. E. Rastawieckiego (*Słownik malarzy*, II. 239. *Bibl. warsz.* z r. 1860 ze stycznia i z lutego).

(1) Pisałem o rzeźbach Stwosza krakowskich, bardyowskich i norymberskich w *Gazecie warszawskiéj* z r. 1853 nra 60, 62, 66, w *Dzienniku lit. lwowskim* z r. 1853 nr. 23, w *Krakauer Zeitung* z r. 1857 nra 128, 129, 130, 131, 132, 134, w *Tece wileńskiéj* nr. 2 i 4, wreszcie w moich *Starożytnościach i pomnikach Krakowa* poszyt VIty.

(1) Neudoerffer, żyjący od r. 1497—1563.

i niemieckiemu dramatycznemu utworowi Fryderyka Wagnera.

Z listów Stwosza, w archiwach norymberskich dochowanych, widać, że nawet po niemiecku dobrze nie umiał.

Prawie stu lat dożywszy, zmarł Stwosz r. 1533 w jesieni, a ciało jego złożono na norymberskim cmentarzu św. Jana. Niemiecki napis wskazuje, że w jednym grobie legł z Keczlerami i Karnerami, krewnemi drugiéj żony jego Barbary Herczin. Spoczywa opodal Dürera, z którym się w sztuce spowinowacił duchem i charakterem prac swoich; a w bawarskiéj Ruhmeshalli stoi posąg jego, ku pamięci zapewne niemieckiego piętna, jakie mu norymberski kat na twarzy wycisnął.

Duszą uciekł mistrz krakowski w świat sztuki niemieckiéj, zysk zapędził go do bogatéj Norymbergi, stosunki krwi z Bawarami złączyły; to téż spadła nań z pańskiego dopustu sroga kara za przeniewierzenie się myśli ojczystéj, i dopiéro w półczwarta wieku stają Polacy przed mogiłą jego, a pieśń narodowego wieszcza, jakby oczyszczone pokutą imię rozsławia w ojczyznie. To było przyczyną, że nie wiedziano u nas o Stwoszu.

„Na obcéj ziemi kości mistrza legły,
Grób zapomniano—i wieki ubiegły....
A przy ołtarzach jego klęczą ludzie,
A po grobowcach jego wiek nasz czyta,
I spracowany w bardzo wielkim trudzie,
O imię mistrza i zagadki pyta,
Które w swych dziełach wielki duch poznaczył.“

Z dotychczasowych badań wiadomo o synie Stwosza, rzeźbiarzu i malarzu, zmarłym przed śmiercią ojca w Norymberdze; polskim obyczajem było mu na imię Stanisław. Także miał czeladnika Jerzego Hubera z Passawy, który wykuł nazwisko swoje na jednym z nagłówków kolumn sarkofagu Kaźmirza Jagiellończyka. Z czasem ugrupuje się koło postaci mistrza Wita cała szkoła jego; w owych wiekach o cechu przepominać nie można, a ta czeladź krakowska, uznająca wyborem swoim starszeństwo Stwosza, wykonała niejedno, co skrzętni badacze nasi i niemieccy za utwór przez mistrza rzeźbiony uznali.

Wyliczając tutaj dzieła Wita, wypuszczę to, czego zdaniem drugich lub sądem własnym, uważać nie mogę za wykonane przez niego samego. I tak, między szkołę a Stwosza podzielić przyjdzie wiele z przypisywanych mu rzeźbionych ołtarzy w wymienionych wyżéj kościołach miast Spiża. Z tych które sam widziałem, bardyowski farny tryptyk *Narodzenie pańskie* jest najcenniejszy. (1) Jakże pięknie pojęta ta wielka scena! Oto w środku ołtarza w całkowitéj rzeźbie, na tle widoku, ukazują się dzieje nocy Narodzenia. N. M. Panna klęczy nad Jezusem, a złociste anioły zbiegły się otoczyć skrzydłami swemi nowonarodzoną Boską dziecinę,—i niebo stało się na ziemi. Z głębi schodzą się ludzie cud ujrzawszy: więc gdzie biją promienie gwiazdy wiodącéj, spuszczają się pasterze, królowie, zwierzęta i ptacy. U dołu w podstawie, malowania wystawiające dalsze sceny z Narodzenia: Pan Jezus między mędrcami, Mord niemowlątek, Oczyszczenie Najświętszéj M. Panny i najpiękniejsza Ucieczka do Egiptu. Po bokach wnętrza ołtarza, w niszach 4 rzeźbione postacie świętych królowych: Katarzyny, Barbary, Doroty i Elżbiety. Na wiérzchu pod trzema pięknemi baldaszkami statuy śś. Władysława, Idziego i Wojciecha; nad świętym Władysławem koronkowe iglice splatają się w strzelającą najwyżéj, a ta, wspinając się po łuku co z kolumny na sklepienie biegnie, zgina się i okrągli (2). Na drzwiach zamykających ołtarz, w ośmu działkach obrazy z męki pana Jezusa.

Mimo że rzeźba ołtarza tego jest prześliczna i prawie z pewnością za utwór Wita Stwosza poczytać ją można, przecież malowania wyższéj jeszcze wartości. Znać tu już w nich wpływ włoski, co zdelikatnił szkołę staroniemiecką; perspektywa rozwinięta, a wiele ruchu, życia i świeżości. Może się nie omylę jeśli powiem, że obrazy owe są pędzla tegoż samego mistrza, któremu (mianując go Suesem) wyborne w Krakowie dochowane malowania przypisujemy (3).

(1) Opisałem ołtarze bardyowskie w *Tece wileńskiéj* nr. 4.

(2) Jak kraftowski przybytek na N. Sakrament w kościele św. Wawrzyńca w Norymberdze.

(3) O Suesie ob. moje *Starożytności i pomniki Krakowa* zeszyt 7y, *Słownik malarzy* E Rastawieckiego T. II str. 244 i w *Krakauer Zeitung* za rok 1857 nr. 130 i 131.

Z rzeźb będących w Bawaryi, tylko następne za własne Stwosza uważam, poczytując je zawsze za wiele niższe od ołtarza N. M. Panny i grobowca Kaźmirza Jagiellończyka w Krakowie:

a. Matka Boska z dzieciątkiem Jezus, na północnéj ścianie kościoła N. M. Panny.

b. Pozdrowienie anielskie w kościele św. Wawrzyńca; tamże *świecznik* Tucherowskiéj fundacyi i *Chrystus na krzyżu* w wielkim ołtarzu.

c. Wielki ołtarz i boczny różańca św. w kaplicy św. Rocha,

d. Anioły ze świecznikami w kaplicy cesarskiéj.

e. Chrystus na krzyżu w kościele św. Sebalda.

f. Chrystus na krzyżu w kościele w Heilsbronn i rzeźby u wejścia do katedry bamberskiéj.

Piotr Fiszer, z pomocą pięciu synów swoich, odlał z bronzu grobowy w Norymberdze *pomnik św. Sebalda*, w kościele tegoż nazwiska, (ob. str. 296), ukończywszy robotę 1519 dnia 19 lipca.

Czytaliśmy sami najwyraźniejszy napis u stóp grobowca, gdzie Fiszer pod odlaną postacią swoją, kilkakroć nazwisko własne i daty wykonania zamieścił. Zresztą znane są dzieje utworu tego (1). Że jednak Heideloff posiadany przez siebie rysunek projektu nagrobku (innego niż stojący teraz w kościele św. Sebalda) Stwoszowi bezzasadnie, (jak dowiódł Rettberg) przypisywał; ztąd zapewne podobało się W. Polowi (w 25 objaśnieniu do poematu) poczytać pomnik św. Sebalda za dzieło *rzeczywiste* Stwosza, a nawet utrzymuje Pol, że: monogramem oznaczył Wit ten swój utwór; w samym zaś poemacie szczegółowo błąd ten rozwinięty.

Pominąwszy utwory sztycharskie i rzeźby za Stwoszowskie poczytywane w Bothwil, Heilborn, Anclam, i Kolbergu, nadto posągi Adama i Ewy, które mają być w Portugalii, obejrzyjmy *wielki ołtarz kościoła N. M. Panny w Krakowie*, olbrzymie dzieło, któremu mistrz dwanaście lat życia poświęcił. Nie można było w téj świątyni piękniejszym utworem uczcić Pana i lepszego o pojęciu piękności przez współczesnych zostawić świadectwa, jak stawiając w niéj tak wspaniały i wzniosłości stylu ostrołuków odpowiadający ołtarz. W zagłębieniu ograniczoném na zewnątrz łukiem pełnym ozdób, widzisz dwunastu apostołów w grupie prawdziwie artystycznie pojętéj, otaczających klęczącą Maryą. Im dłużéj wpatrujesz się w cuda, które mistrz wlał w swe dzieło, tém jaśniéj roztwiéra się przed tobą to niebo, w które cię geniusz jego wprowadził. Krawędzi łuku, tworzącéj ramy, czepiają się grupy charakterystycznych postaci, to niby widzowie, ziemia, którą artyści z czasów gotycyzmu tak zręcznie z niebem łączyć umieli, lub ją téż dla harmonii, jako cień przy świetle, w swych utworach mieścili.

Po obu stronach tego łuku, co jakby ziemia służy za przedsionek nieba wielkiéj scenie zaśnięcia Maryi, roztwierają się, niby drzwi, 18 tablic, wystawiających sceny z Narodzenia, Męki i Zmartwychwstania Chrystusa. Cały ten ogrom zakończają wybiegające ku górze iglice, malujące się na tle różnobarwnych okien. Oto co J. Kremer mówi o tym utworze w *Listach z Krakowa*: „Wpatruj się pilnie w ołtarz wielki maryackiego kościoła, i podziwiaj tę świętość figur otaczających Boga-Rodzicę, co chyląc się ku ziemi snem znękana i tonąc w marzeniu anielskiém, porzuca życie doczesne. Ileż tam rozmaitości, fantazyi, sztuki! jakie bogactwo ozdób! jaka szkoła dla studyów artysty!“

Obecnie brat mój Ludwik ukończył akwarellę całe dzieło wystawiającą; wyjdzie ona w chromolitografii, we *Wzorach sztuki średniowiecznéj*.

Pruchnienie drzewa nagli aby co najrychléj zabezpieczono ołtarz ten od upadku. Nadzorczy komitet budowli kościelnéj wié o tém i czuje konieczność restauracyi; przecież nie ma w administracyi własnéj funduszów, ale kancellarye rządowe zawiadują i dysponują niemi.

Kaźmirza Jagiellończyka sarkofag stał się najcenniejszym z artystycznych zabytków krakowskiéj katedry, bo się w nim unieśmiertelniło dłuto naszego Wita.

Pomnik ten, ostatni z XV wieku gotycki zabytek katedry krakowskiéj, ubrał się wszelką ozdobą, jakiéj tylko stojące wtenczas u szczytu średniowieczne rzeźbiarstwo dostarczyć mogło. Nie owe już tutaj w lekkich tylko zarysach nakreślone ostrołuki, jak na Łokietkowym grobowcu, ani téż w geometrycznych liniach pospajane wiązania, jakie piękny Kaźmirza W. utworzyły monument; ale iglice baldakimu podparte bogatemi nagłówkami ośmiu sześciograniennych kolumn strzeliły ku górze, podtrzymując nad łożem królewskiém sklep prawie upleciony z listków najbujniejszą uwitych fantazyą. Wszystko ożywione; tylkowśród liścia nad dolnemi plątającego się działkami, usiadł nietoperz i złowróżbna sówka. Gdy u spodu pomnika w 4ch działkach zamieścił artysta ludzi różnych stanów kraju, każąc im wszelakim wyrazem boleści opłakiwać smutek ziem, których herbowe podtrzymują tarcze; gdy na wierzchu grobowca rozłożył postać królewską w cudnie udrapowanym koronacyjnym płaszczu, a lew i orzeł stanęli na straży oznak monarszych; to nad tą światową wielkością z nagłówków kolumn całe już dzieje spraw Bożych rozsuwają się przed tobą, niby zaziemskie marzenia uśpionego władcy.

Wielkość Polski jako państwa stanęła wtedy u szczytu; to téż jak wieszczby moralnéj przyszłości, wywijają się ze słupców grobowca wróżące o niéj postacie. Niby anieli niebiescy rozwiesili nad posągiem ukoronowanym słowa w obrazach, co się ciałem stały. Nie wszystkich oczy zdolne odczytać te dłutem artysty wyżłobione sceny, tak ruchliwą fantazyi osłonione szatą, że gdy poeta i archeolog przed grobowcem staną, każdy inną myśl zachwyconemu artyzmem okaże widzowi.

Tłumaczyli treść znaczenia rzeźb na owych kapitelach: Pol, Grabowski i Muczkowski; ostatniego wykład jest niewątpliwym.

Pomnik o którym mówimy ma wielkie podobieństwo co do układu z *grobowcem biskupa Piotra z Bnina*, który staraniem Kalimacha stanął w Włocławku, ztąd téż i ten utwór Stwoszowi przypisują. Znamy tylko rysunek we *Wzorach sztuki średniowiecznéj*, a więc orzec nie umiemy.

W dalszy poczet dzieł krakowskiego mistrza zaliczają: *Ogrójec*, wypukłorzeźba kamienna, na cmentarzu Panny Maryi w Krakowie, i cztéry tablice drewniane, przedstawiające *sceny z życia śś. Jana chrzciciela i apostoła*, dochowane w Krakowie, w kościele św. Floryana.

Jednę z tych rzeźb wydałem w litografii w 6ym poszycie moich *Starożytności Krakowa*. Wystawia ona chwilę, gdy Salome, córka występnéj Herodiady, zachwyciwszy tańcem podczas uczty Heroda Antipasa, wyjednywa u niego śmierć św. Jana, naganiającego występki jéj matki, która ją nakłoniła do żądania tego (Mateusz XIV, Łukasz III). Na górnéj ramie téj tafli są gruppy, jakby widzów wystawionéj sceny. Dajemy poniżéj jednę z nich, dziś należącą do zbiorów c. k. Towarzystwa naukowego krakowskiego. (Ob. str. 296).

Drzeworyt wykonano wedle fotografii umieszczonéj (pod l. 422) w *Albumie Karola Beyera krakowskiéj wystawy starożytności*.

Umieszczony na czele tego artykułu wizerunek, przerysował p. Aleksander Lesser z ołtarza św. Jana w Norymberdze, gdzie Stwosz sam się wyrzeźbił.

Jestto najautentyczniejszy portret jego; gdyż ów tylekroć publikowany z kroniki Murra niéma za sobą żadnéj powagi.

Kończymy życzeniem, aby utwory rzeźbiarza naszego szczegółowéj krytyki, a życie jego, bogate w cierpienia, zdolnego pióra doczekać się mogły. Potrzebną jest monografia taka w literaturze naszéj, a niebrak już na materyałach do niéj.

Kobiétom i poecie dano jest przeczuć i odgadnąć. Tak Pol, nie znając rozwiązania sprawy norymberskiéj, przez pana Rastawieckiego świeżo dopiero ogłoszonéj, nie zostawił Stwosza z piętnem hańby, ale rada miejska wraca w poemacie cześć mistrzowi. Idźmy za głosem wieszcza, a dajmy sławę w narodzie Witowi; bo przez cztéry wieki lud nasz modli się przed krakowskim ołtarzem, a z grobowcem Kaźmirza Jagiellończyka imię jego się zrosło. Piętnem norymberskiém okupił związki krwi i ducha swego.

Józef Łepkowski.

(1) Czytaj *Nürnbergs Kunstleben von Rettberg*, str. 95, 96, 149.

Kronika tygodniowa.

Z dreszczem dzisiejszą zaczynam kronikę.

A rozbudza go we mnie wspomnienie zimna podbiegunowego, jakiego doświadczyliśmy przy początku bieżącego tygodnia. Srogi *akwilon i auster* zatruły nam piérwsze majowe roskosze. Na ranne przechadzki trzeba było w futrach się wybiérać, a grad ze śniegiem przykrywały chwilowo białym płaszczem swoim umajone pola. Ale że wszystko na świecie ma swój porządek (oprócz niektórych ulic w Warszawie), wróciło wreszcie upragnione słońce i święty Stanisław dopisał jak zwykle pogodą.

Więc witaj nam Czerniakowie, z twoim dorocznym odpustem, który w przyszły Bonifacowy poniedziałek dosięga punktu kulminacyjnego. Witaj nam z twoim zawsze pełnym kościołkiem, z twojemi kramami i ogródkiem, z ludowemi zabawami i ubogiemi, żebrzącemi po drogach, z zapachem świeżo rozzielenionych pól i pieśnią skowronka przyśpiewującego rannym wycieczom warszawiaków! Tyś jest jedną z najmilszych tradycyj naszego dzieciństwa i nigdy nie stracisz wziętości swojéj, bo dawne przysłowie mówi: że dopóki Polski, dopóty odpustów: zawsze na nie licznie zgromadzać się będą. Pytanie, czy dlatego odpusty są u nas w takiém zachowaniu, żeśmy zawsze mieli wiele do odpuszczania. Może być, ale naród w którym duch religijny tak jest zakorzeniony, w którym przebija się on we wszystkich obrzędach, pamiątkach i obyczajach, naród taki nigdy nie musiał być ostatnim w służbie Bożéj, chociaż niezawsze pod równą miarą z łaski Opatrzności korzystał. Więc i Czerniaków, z całym swoim przyborem półwiejskich i półmiejskich rozrywek, i z tym ruchem świąteczno-odpustowym, uderzającym swoją oddzielną fizyognomią, któréj już tylko może w kraju naszym przychodzi szukać jedynie; więc i Czerniaków budził i budzi zawsze w nas pocieszające wrażenie. Lubimy widzieć jak dawny obyczaj istnieje w całém poszanowaniu swojém, jak téj świętéj nici wiążącéj nas z przeszłością nie zrywają ani nowi ludzie, ani napływ świeżych cudzoziemskich wyobrażeń, które nas nieraz na bezdroża prowadziły. Pomiędzy tym ludem modlącym się gorąco pod gołém niebem, w powietrzu świeżą wonią wiosny owianém, przy tych pieniach religijnych, nieuczoną a tak piękną odzywających się harmonią, serce raźniéj bije i myśl swobodniejsza, i duch odżywia się w poczuciu ogólnego braterstwa.

Ale wróćmy do Warszawy, na nasz bruk przesycony kurzem miejskim, bo niestety, jest to miejsce zwykłych wędrówek naszych, nawet w obecną porę, kiedy wszystko z miasta rozjeżdżać się już zaczyna.

Owóż mieliśmy tu jeszcze kilka resztek teatrów amatorskich, dogorywających po przebrzmiałéj zwykłéj porze swojéj. Dochód z jednego z nich przeznaczonym został na cele dobroczynne i wcale spore przyniósł rezultaty. W jednym nawet z tutejszych domów, gdzie zwykle zbiéra się dobrane muzykalne towarzystwo, przedstawiono kilka wyjątków z oper. Było to ziszczenie zamiaru, o którym już uprzednio donosiliśmy.

Odczyty w wielkiéj resursie kończą się już, jakkolwiek czasowo tylko. Nadchodzące długie dnie, z których druga połowa poświęcona zwykle bywa przechadzkom, odstraszają szanownych professorów, których wymowny głos zwabiał dotychczas do sali resursowéj licznych bardzo słuchaczów. W każdym razie dobry początek zrobiony już, popęd dany, i przekonaliśmy się, że ta myśl z wielkim dla ogółu naszego pożytkiem używotnić się może. Nie z rzeczywistego więc wyczerpania najdrobniejszéj części nauk tak popularnie wykładanych, nastąpiła owa czasowa przerwa, bo wykład zaledwie rozpoczęty, a materyałów nie zbraknie, rozwijają się one ciągle jeden z drugiego w tym niewyczerpanym kłębku Aryadny, który zwiemy nauką. Długo jeszcze zapewne, bardzo długo, przyjdzie nam korzystać z wprowadzenia w czyn tego tak użytecznego pomysłu. Jednogłośne uznanie wynagrodziło szanownych professorów za ich poświęcenie i trudy, a stało się zapewne i zachętą do nieustawania nadal w raz podjętéj pracy.

Donoszą nam o mającéj się założyć nowéj księgarni; jest to już zdaje nam się trzecia czy czwarta z rzędu z świeżo powstałych w dwóch ostatnich latach. W księgarstwie naszém nie brak współzawodnictwa i powołanych jest niemało; ale bogdaj czy nie jak w literaturze, trudno tam także być wybranym. Pan Dzwonkowski jednak, który do istniejącego już pod swoją firmą zakładu litograficznego, ma zamiar zakład księgarski przyłączyć, posiada już niemałe doświadczenie w tym zawodzie, gdyż przez długi czas miał własną księgarnię i wydawał wiele publikacyj, a między innemi Illustracyą norwegską w Chrystyanii. A tu wprawa i doświadczenie potrzebniejsze może niż gdziekolwiek indziéj, zwłaszcza u nas, gdzie księgarstwo i wydawnictwo nie doszło jeszcze do tego rozwoju i stanu kwitnącego, w jakim znajduje się za granicą. Tutaj pierwszym warunkiem życia jest, korzystnemi przedsięwzięciami zapewniać sobie możność tworzenia wydań potrzebnych i użytecznych; korzystnych tych przedsiębierstw księgarskich bardzo mało i zaledwie parę z nich w ostatnich czasach moglibyśmy naliczyć. Każdemu więc nowemu zakładowi tego rodzaju życzymy powodzenia, wpłynie ono bowiem zawsze w swojém kółku na ożywienie ruchu i zamiłowanie w czytaniu.

Pan Bilse, po dawnéj znajomości, liczną zwabia publiczność do doliny Szwajcarskiéj. Jest to jakby dobry obraz, ukazujący się po mnogich a nieudatnych kopiach; bo po prawdzie żaden z dyrektorów tych wszystkich ogródkowych muzyk, którzy w dwóch ostatnich latach tak szybko zmieniali się jeden po drugim, nie posiadał ani równéj mu wytrawności w sztuce, ani umiejętności w doborze licznéj a wyćwiczonéj orkiestry i kierowaniu nią, żaden téż nie cieszył się taką sympatyą Warszawian. W ogóle nie jesteśmy stronnikami wszelkich zagranicznych orkiestr ogródkowych i kilkakrotnie mieliśmy już sposobność przekonać o tém czytelników, ale dla p. Bilsego czynimy wyjątek, bo téż w istocie wpłynął on niemało na spopularyzowanie zamiłowania dobréj muzyki u nas. Radzibyśmy jednak w szeregu kompozycyj wykonywanych przez jego orkiestrę, słyszéć częściéj dzieła Szopena, i zdaje nam się, że p. Bilse w własnym swoim interesie powinienby o tém pomyśléć. Szopen jest zawsze u nas najpopularniejszym z narodowych kompozytorów, a samo nazwisko jego na afiszu jest już niemałą przynętą dla publiczności i potrafi wpłynąć na liczne jéj zgromadzanie się.

Zaczyna się dla sceny naszéj niezbyt sprzyjająca pora, światło bowiem dzienne jest nieprzyjacielem kinkietów. Teatr jednak nie opuszcza rąk; wiemy o kilku nowościach w projekcie. W prawdzie piérwsza z nich, dramat Jerzy z Ingonville, nie należy koniecznie do nowości, przynajmniéj we francuzkim języku, ponieważ jednak dawno już był przeznaczonym do nauki, musiał raz przecie ujrzéć światło dzienne. Za to mamy nadzieję, że rok bieżący okaże nam przeważający rezultat w sztukach oryginalnych, z których kilka przygotowanych jest do nauki.

W tych dniach rozstrzygniętą została w sądzie appellacyjnym sprawa pomiędzy tutejszą artystką panią Z*, a entreprenerem prowincyonalnego teatru panem Ch*. Sprawy takie, często bardzo wydarzające się za granicą, u nas są jeszcze rzadkością. P. Z* przed kilką laty, mając zamiar opuścić tutejszą scenę, zawarła była z panem Ch* umowę, mocą któréj obowiązywała się występować w towarzystwie przez niego dyrygowaném, strona zaś niedotrzymująca umowy, miała zapłacić poszkodowanéj 10,000 złp., jako wynagrodzenie za stracone korzyści. Bardzo łatwo się domyśléć, że pomimo téj chwilowéj ochoty opuszczenia Warszawy, artystka tak użyteczna scenie naszéj i tak lubiona przez publiczność, musiała tutaj pozostać. Skutkiem tego pan Ch* położył areszt na jéj pensyi, i kiedy się już pewna spora sumka uzbierała, rzecz poszła pod rozstrzygnięcie sądowe. W trybunale pani Z* skazaną została na zwrócenie panu Ch.* danéj jéj z góry pewnéj kwoty pieniężnéj, ale wyrok sędziów zwolnił ją od zapłacenia 10,000 złp, sąd zaś appellacyjny pod względem zwrócenia z góry kwoty utrzymał wyrok trybunału, ale zarazem zasądził panu Ch* owe 10,000 złp. Pani Z* rekursuje do senatu, który w ostatniéj instancyi rzecz tę rozstrzygnie.

Mieliśmy już tu kilka processów wydawców z literatami, ale to piérwsza o ile zapamiętamy sprawa pomiędzy artystką a dyrektorem teatru. Motywa w wydawanych w takich sprawach wyrokach, oraz głosy obrońców, posłużą do lepszego określenia u nas własności literackiéj i artystycznéj. Na jednę rzecz mianowicie należałoby zwrócić baczną uwagę. Sztuki oryginalne, których coraz większa pojawia się ilość, grywane bywają po teatrach prowincyonalnych, najczęściéj bez opowiadania się autorom i bez żadnego dla nich wynagrodzenia. Wiemy że niektóre z tych towarzystw prowincyonalnych zaledwie z biédą utrzymać się mogą, znajdują się jednak pomiędzy niemi i takie, które z łatwością poświęciéby mogły część sporych zysków na korzyść autora dopomagającego im do powodzenia. Kiedy więc dyrektor prowincyonalnego teatru może wytoczyć artyście proces, dlaczegóżby autorom niewolno było występować o pokrzywdzenie ich przez dyrektorów prowincyonalnych i nadużycie prawa własności? Niechby przynajmniéj opowiadano się im w razie przedstawienia ich sztuk, to nietylko prawo ale i przyzwoitość nakazuje. Rzecz ta zasługuje na obszerniejsze wyjaśnienie.

Roboty około nowéj kaplicy oo. karmelitów z wiosną rozpoczęte zostały na nowo. Wiadomo że na zbudowanie téj kapliczki, w któréj ma się pomieścić Chrystus złożony w grobie, przesłany w darze z Rzymu przez p. O. Sosnowskiego, jedynym funduszem są składki dobrych ludzi, pragnących się do Bożéj chwały przyczynić. Składki te jednak w ostatnich czasach szły bardzo opieszale, ojcowie ratowali się jak mogli własnym oszczędzonym groszem, a nawet pożyczkowemi pieniędzmi. Wartoby żeby pisma nasze przypomniały publiczności o téj kapliczce, któréj budowa z braku funduszów zagrożoną jest przerwaniem. Kiedy tylekroć uboższy od Warszawy Kraków, potrafił jednak, zbiérając grosz do grosza, zdobyć się na odbudowanie z gruzów kilku wspaniałych świątyń Pańskich, toż przecie nadzieja w Bogu że i miasto nasze nie okaże się opieszalszém w pełnieniu tak świętéj powinności. Wszakże stosunkowo niewiele tu mamy kościołów, a część z nich posiada zapewnione stałe fundusze; tém przeto większy ciąży na nas obowiązek zasilania tych, które nie mogą się bez składek obejść.

Podobno jakiś spór wszczął się o posiadanie nowéj wyspy Monte-Christo, którą zamierzał objąć w posiadanie jakiś przedsiębierca zabaw. Wznowiona tu została, jak słyszeliśmy, taż sama kwestya wschodu i zachodu, która niegdyś tak mocno różniła Portugalczyków i Hiszpanów na oceanie Spokojnym. To przynajmniéj pewna, że na téj wyspie oprócz szczurów i kretów, które już ją pierwotnie objęły w posiadanie, niéma żadnéj innéj dzikiéj ludności do tępienia, bo w przeciwnym razie moglibyśmy być świadkami bardzo krwawych scen. Starszą jéj siostra, Saska kępa, nie zasypia również sprawy i w coraz nowe stroi się porządki, zwłaszcza od czasu jak za pomocą stałego mostu, rzuconego przez wiślane Dardanelle, które ją od Pragi oddzielają, została ze stałym lądem połączoną. A i na Pradze coraz nowe wznoszą się budynki, i nie zbraknie tam miejsca, bo obręb tego przedmieścia kilka razy więcéj ludności mógłby pomieścić, aniżeli obecnie.

Znalazły się osoby, zaprzeczające wiadomości podanéj przez nas o małżeństwie młodego urzędnika, który sobie chętném udzielaniem jałmużny zjednał ojca przyszłéj żony swojéj. A jednak wiadomość ta jest najzupełniéj prawdziwą, tak jak inna podana przez nas, która się urzeczywistni w bieżącym jeszcze roku w miesiącu wrześniu, pomimo drukowanego zaprzeczenia. Co do małżeństwa o którém mowa, widzieliśmy spisaną intercyzę, z wymienioną summą posagową, u jednego z regentów tutejszych. W wypadkach tego rodzaju podawanych przez nas, zatajamy zwykle, albo zmieniamy zgoła nazwiska osób działających, nie zawsze bowiem wolno jest nam podawać je do wiadomości publicznéj. Pomimo jednak tych niektórych zmian koniecznych, tło wypadków zawsze jest prawdziwém. Ale dziś o inném małżeństwie przychodzi nam mówić, towarzyszą mu dość szczególne okoliczności: *ona* bawi w Warszawie, *on* mieszka zagranicą, narzeczeni *wcale* się jeszcze nie widzieli i podobno dopiero przy ślubie pierwszy raz się ujrzą. To trochę po persku, szczęście tylko że oblubienica z zasłoniętą twarzą do ślubu nie przystępuje, bo przynajmniéj w najważniejszéj chwili pan młody będzie się mógł przekonać o swojém szczęściu.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MUZYKA.

Trzeci i ostatni wielki koncert na rzecz Instytutu muzycznego warszawskiego, dnia 2 maja b. r.

Otóż i trzeci koncert na korzyść Instytutu minął nareszcie. Sądząc po natłoku osób zapełniających wszystkie miejsca obszernego cyrku, współczucie ogółu dla mającego się wznieść w roku bieżącym zakładu, nie ostygło wcale; owszém, z rozmaitych stron kraju dochodzą nas wieści o licznych dla jego dobra przedsięwzięciach, po większéj części już spełnionych, lub blizkich spełnienia. Jak tego najoczywistszy mieliśmy dowód po owych trzech koncertach, Warszawa, lubo wolniéj brała się do rzeczy, świetnie jednakże wywiązała się ze swego obowiązku; nietylko dobréj sprawie przyniosła znaczny materyalny zasiłek, lecz także sztuce miejscowéj dozwoliła rozwinąć swe siły, stanowiące niejako punkt wyjścia dla wszystkich podobnych w przyszłości przedsięwzięć. Czegóż nie wolno nam się spodziewać dla muzyki narodowéj, po kilkunastu latach istnienia instytutu, gdy obecnie jesteśmy w stanie zdobyć się na tak imponujący rezultat. Pomijając wzgląd na solową część wykonania, któréj przedstawiciele głównie po za granicami kraju naszego ukształcenia szukali, przypatrzmy się raczéj

KOŚCIÓŁ Św. SEBALDA W NORYMBERDZE.
(Ob. życiorys Stwosza, str. 294.)

chórom, złożonym z amatorów prawie, a z przyjemnością dostrzeżemy, iż nietylko im nie brak zdolności do wyśpiewania trudnych nawet kompozycyj, ale sądząc po dokładności wykonania, na prawdziwém do sztuki zamiłowaniu nie zbywa im wcale. Wieleż to bowiem starania, pracy, a przedewszystkiém czasu wymagało nauczenie się przez massę dwustu blizko śpiewaków takich dzieł jak Stefaniego, Rożnieckiego, Brzowskiego i Moniuszki; oto naprzykład część druga w ostatnim koncercie składała się z mitologicznéj kantaty tego ostatniego kompozytora, w któréj chóry, żeńskie mianowicie, najważniejszy udział brały. Utwór ten, pełen wdzięku i jakiéjś Haydnowskiéj spokojności, nie siłą instrumentalnego kolorytu, ani nowością muzykalnych, popisowych efektów, lecz prostotą melodyjnych pomysłów, lecz powabem szlachetnéj barwy harmonijnéj się zaleca. Zastosowawszy się wiernie do tekstu, wysnuł z niego Moniuszko szereg prześlicznych obrazów, skromnością formy, lirycznością ducha przypominający dawne błogie czasy muzyki, gdy jeszcze dramatycznéj prawdy w spokojnych, czystych i poważnych dźwiękach szukano, a nie w gwałtownem szamotaniu się instrumentów, który to system tak powszechnie teraz bywa używany. Dlatego ci, co nie są dosyć wtajemniczeni w dzieła dawniejszych wielkich mistrzów, jakiemi byli Haydn i Mozart, może w pracy naszego kompozytora nie znaleźli dla siebie dostatecznego zajęcia, gdyż zmysł ich słuchu czystą i pełną prostoty muzykalną falą był tylko kołysany; ale dla tych co są wstanie, z pierwszego nawet słyszenia, ocenić istotną wartość w sztuce tego utworu, posiada on nadzwyczajne i nieocenionéj piękności artystycznéj przymioty. Osnowa téj kantaty wziętą jest z mitologicznych podań ludu litewskiego: *Poklus*, bóg podziemny (słowa Narbutta) panujący nad marami, sprawca mąk piekielnych duszom zbrodniarzy zadawanych, zwykł ukazywać się jawnie w domostwach, co było niechybną przepowiednią gniewu bogów, a zatém klęsk i nieszczęść domowi i mieszkańcom zagrażających. Trzeba było rychło temu zapobiegać, udawać się do znakomitego kapłana, a ten oznajmiał wolę bogów, wyjawiał czego potrzebują; że zaś zawsze w téj ostateczności krew ludzka musiała być ofiarowaną, przeto wymieniał kapłan osobę, którą poświęcić w ofierze należało. I tak: gdy razu jednego *Poklus* pojawił się przed królową *Krumine*, ta zwoławszy lud cały, radziła się wyroczni, która życie najdroższéj jéj sercu osoby na okup gniewu bogów przeznaczyła. Natenczas *Nijoła*, córka *Kruminy*, pojmując że owém najdroższém życiem jest jéj własne, chcąc zbawić matkę i swój naród, dobrowolnie poświęca się na ofiarę. Otóż właśnie chwilę tę wybrał kompozytor, gdy *Nijoła* przygotowuje ofiarę z życia swego. Ustęp ten, złożony z sześciu numerów, jest właściwie trzecią tylko częścią wielkiéj kantaty pod tytułem *Krumine*. Może też z czasem Moniuszko pozwoli nam się więcéj oswoić z jego pracami w tym rodzaju, których dotąd tak skąpo nam udziela; słyszeliśmy w roku zeszłym *Mildę*, teraz *Nijołę*; kiedyż nadejdzie pora na wykonanie *Dziadów* Mickiewicza i na inne dzieła, aż do téj chwili z wielką dla naszéj sztuki narodowéj szkodą w ukryciu trzymane? Recitatiwa w kantacie *Nijoła* wypowiedział pan Köhler, głównąż zaś partyą odśpiewała wybornie, znana z pięknego talentu, amatorka pani Leo.

Z miejscowych kompozycyj słyszeliśmy jeszcze ustęp z *Requiem* Brzowskiego pod tytułem *Rex tremendae*, na chór i orkiestrę, z właściwą treści powagą i dzielnością niezwykłą stylu napisany, tudzież marsz żałobny Szopena, w pięknéj i pełnéj efektu instrumentacyi Quattriniego i polonez tego wielkiego mistrza fortepianu, ułożony na orkiestrę przez Józefa Nowakowskiego.

W tym trzecim koncercie muzycznym odstąpiono nieco od zasady posługiwania się w programie samemi miejscowemi utworami. Uwertury Wagnera z opery *Rienzi* i Meyerbeera z *Odpustu w Pleormel*, rozpoczynały piérwszą i trzecią część koncertu. Uwertura twórcy *Roberta Diabła* z tego głównie powodu była dla wielu zajmującą, iż w niéj autor połączył wszystkie instrumenta, jakie tylko w rzadszych okolicznościach w muzyce teatralnéj używane bywają; są tam, oprócz zwykłych, rożek angielski, klarynety-bassy, dzwonki, arfa, organy, a do tego chór na męzkie i żeńskie głosy, śpiewający modlitwę przed burzą i następnie łączący się w jedno z orkiestrą. Wspaniały ten obraz grzeszy może zbytniém na efekt rachowaniem, ale to cecha talentu Meyerbeera; u niego wszystkie środki są dobre, skoro tylko do zamierzonego celu prowadzą, celem zaś jest nowość i nadzwyczajność pomysłów.

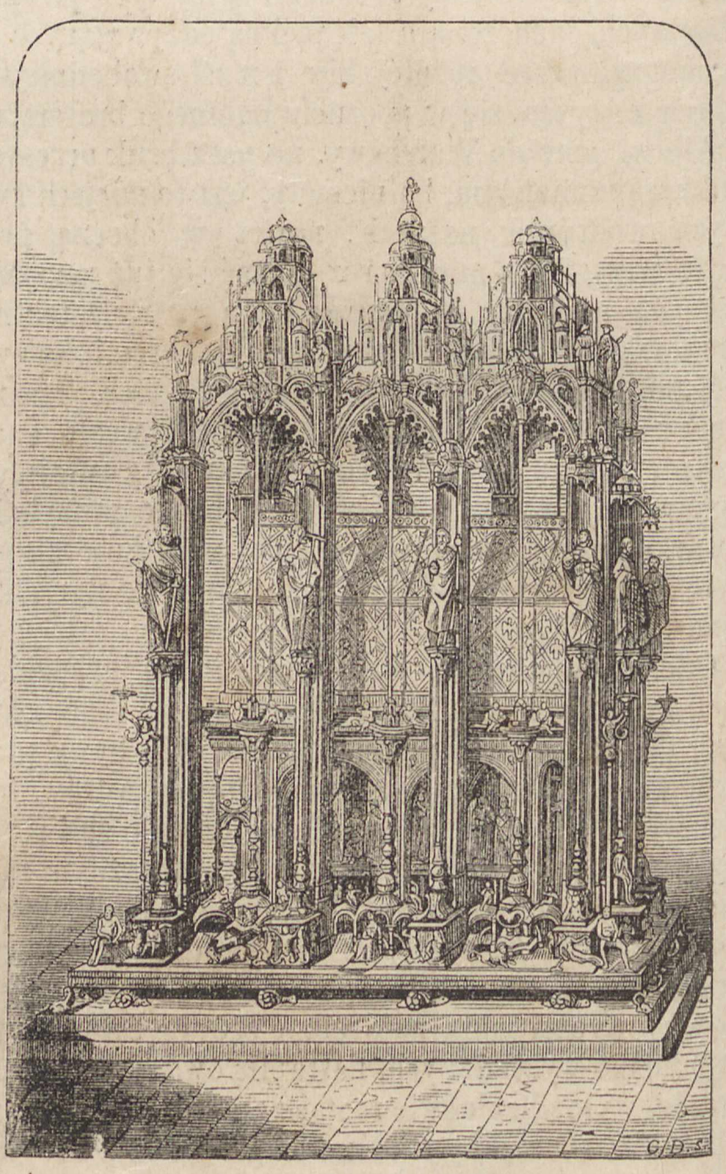

POMNIK Św. SEBALDA W NORYMBERDZE
(Ob. życiorys Stwosza, str. 294.)

Wezwany na koncert z Paryża Lotto, nie wahał się przybyć i złożyć w sprawie dobra powszechnego ofiarę z swego niepospolitego talentu. Warszawiak rodem, powitany został od współziomków serdecznie, a pełne zapału oklaski jakiemi obsypywano prześliczną grę jego na skrzypcach w kompozycyach własnego układu, świadczyły, że ofiara mile przyjętą i dobrze ocenioną została.

Wzruszająca istotnie scena nastąpiła po odegraniu

RZEŹBA WITA STWOSZA.
Rysował A. Piwarski, podług fotografii Beyera. (Ob. życiorys Stwosza, str. 294.)

przez panią Kalergis *Fantazyi* z włoskich motywów Liszta; skoro znakomita pianistka wstała od instrumentu, zbliżył się do niéj Apolinary Kątski, otoczony gronem komitetu, i w imieniu przyszłego Instytutu muzycznego, tudzież w imieniu artystów polskich, podał pani Kalergis wieniec, na pamiątkę czynów dokonanych przez nią dla sztuki naszéj krajowéj, a zarazem jako dowód czci, uwielbienia i wdzięczności, za trudy i poświęcenia, których tyle dała przykładów. Przy wieńcu tym znajdował się napis: „Maryi Kalergis, Instytut muzyczny i artyści polscy. Dnia 2 maja r. 1860“, wraz z wiérszami następującemi:

Imię Twoje godne [sławy,
Boś ty serca nam [podbiła,
Żyjąc życiem téj [Warszawy
Co kolébką Twoją [była.
Przyjmij zatém [szczéry datek,
Chociaż blaskiem [nieolśniony,
Skromny jak nasz [polski kwiatek,
Lecz wdzięczno-[ścią uświęcony.

Zasiadłszy powtórnie do fortepianu, zagrała mazura Szopena, jak gdyby rodzinnemi dźwięki harmonii chciała wywzajemnić się i podziękować Warszawianom za te oznaki hołdu jéj osobie złożonego.

KAPLICA
NADWORNA
KRÓLÓW
CZESKICH
NA HRADSZYNIE W PRADZE.

Ziemia czeska sprawiedliwie szczycić się może mnóstwem starożytnych świątyń, zdobiących jéj grody. Sama Praga liczy pięćdziesiąt pięć kościołów, a pomiędzy niemi katedra arcybiskupia św. Wita jest tak wspaniałą, że śmiało może wytrzymać porównanie z najpiękniejszemi świątyniami Niemiec i Francyi.

Do budowli nietyle ogromem ile pięknością odznaczających się, należy bez zaprzeczenia kaplica nadworna królów czeskich na Hradszynie, zbudowana jeszcze w końcu trzynastego stulecia przez Przemysława Otokara II. Następcy jego przebudowali świątynię tę kilkakrotnie, lecz kiedy Praga przestała być stolicą państwa udzielnego, naówczas i kaplica nadworna dawnych królów czeskich uległa zaniedbaniu. Opustoszenie i cisza zapanowały w miejscu, kędy niegdyś Władysław Jagiellończyk zasyłał modły za pomyślność obu krajów, pod berłem jednéj potężnéj rodziny szczęścia używających. Z zapomnienia tego wyrwała ją cesarzowa Marya Teresa, rezydująca czas niejaki w Pradze; lecz późniéj znowu długi czas stała kaplica samotnie, i dopiéro z gruntu odnowioną i rozprzestrzenioną została w ubiegłym lat dziesiątku, za przybyciem do Pragi Ferdynanda, byłego cesarza austryackiego, który po złożeniu korony, starożytną stolicę Czech za miejsce swego dożywotniego pobytu obrał.

Domurowano naówczas przedsionek i wieżę, przybudowano chór i zakrystyą, lecz ile kaplica na obszerności i zewnętrznych ozdobach zyskała, o tyle wnętrze jéj posępne było w sprzeczności z powierzchownością wspaniałą.

Postanowiono więc całe wnętrze przerobić, i dokonano téj przemiany w przeciągu trzech lat, pod kierunkiem czeskiego malarza Wilhelma Kandlera, który mistrzowsko wywiązał się z tego zadania.

Najpiękniejszą ozdobą świątyni jest wielki ołtarz, wykuty z marmuru karraryjskiego, dzieło Piotra Bonnani. Siedm płaskorzeźb wziętych z Chrystusowéj męki, wykonanych w alabastrze, obraz ukrzyżowanego Zbawiciela, obok Chrystusa *Śmierć Abla* i *Ofiara Abrahama*, nad nim zaś pyszny fresk Kandlera, przedstawiający Boga Ojca błogosławiącego ofiarę Syna człowieczego.

WNĘTRZE KAPLICY ZAMKOWÉJ NA HRADSZYNIE, W PRADZE CZESKIÉJ.

Sklepienie podzielone jest trzema zdobnemi pasami na trzy pola, z których każde zawiera obraz *al fresco*, wykonany przez wspomnionego Kandlera; są to ustępy z historyi biblijnéj, mianowicie zaś: Potop, Ofiara Noego i Nadanie praw Izraelitom. Mnóstwo innych fresków starannie wykonanych, bogatych złoceń i płaskorzeźb zdobi tak ściany świątyni, jakotéż loże cesarskie i dworskie.

Pomiędzy dwoma ołtarzami bocznemi wznosi się piękna ambona, przyozdobiona popiersiami 4ch ewangelistów, oraz posągami Mojżesza i Eliasza. Wielka nisza po prawéj stronie ambony obejmuje w swém zagłębieniu posąg św. Jana Nepomucena, wykuty z marmuru karraryjskiego.

Cała architektura wewnętrzna jest w stylu odrodzenia. Kolumny i ściany z marmuru czeskiego, w dwóch tonach, pięknie odbijają od bogatych złoceń i fresków; rysunek posadzki, ułożonéj z trójbarwistego marmuru, podnosi efekt, a wysokie okna łukowe, oszklone przepysznemi szybami kolorowemi w złocistych ramach, dopełniają harmonii całości.

KTO WINIEN?
(KILKA MYŚLI O STANOWISKU SPOŁECZNÉM KOBIÉT).

Kobiéta i kobiéta, od rana do nocy jest w ustach autorów i czytelników wszelkiego rodzaju; wyraźna

krucyata uformowała się za dni naszych na opanowanie niewiasty i sprowadzenie jéj na drogę przez nas mężczyzn wytkniętą. Kobiéta na scenie, kobiéta w dzienniku, kobiéta w książce! Przy tym potopie moralności i nawracania, można miéć nadzieję, że za lada chwilę niewiasta zmieni się w ideał świętości, godny zostać własnością człowieka serca i umysłu. Wszyscy mówią i piszą o kobiétach, a te co najwłaściwiéj sądzićby mogły w téj sprawie, milczą, nie wiem czy z uporu, czy z lekceważenia: żadna z kobiét nie odpowiedziała rozprawą o mężczyznach, wszystkie tylko słuchają naszych lamentów, i wzruszając ramionami, za kazanie uśmiéchem dziękują.

Moi panowie, czy to czasem nie dowód, żeśmy się wzięli nie do swojéj rzeczy, żeśmy popełnili błąd nie wzywając kobiét do wspólnéj pracy nad uszlachetnieniem społeczeństwa? Jestem tego przekonania, że słowem i sercem tylko jedna kobiéta w sprawie nawracania siostr swoich zwycięzko działać może, nam zaś pozostaje dać z siebie przykład nie słowem, ale czynem. Spojrzyjmy na szereg autorek polskich, i powitajmy ich przewodnią gwiazdę, któréj zawdzięczamy Wiązanie Helenki, Karolinę, Listy brata i siostry... Pamięć jéj święta, a pisma, to skarb dla naszych siostr i córek; słowa jéj, to ożywcza rosa dla młodego pokolenia, a sposób pisania, to najlepsza szkoła dla tych, którzy chcą nawracać.

Kilkanaście drobnych tomików, zapełnionych prostą myślą godną czystego serca, napisanych z miłością dla swojéj ziemi, kilkanaście tomów opowiadań, ogrzanych sercem obywatelki, jakże ogromne wywarły skutki! Kobiéty nasze że są dziś dobremi Polkami, że nie gardzą ojczystą mową, a w dzieci swe przelewają uczucia narodowe, winny to w znacznéj części nieodżałowanéj autorce, któréj dzieła pewno nie znalazły się w rękach kobiét upadłych, Polek niegodnych swéj ziemi.

A zapytajmy się jaki skutek będzie z tych wszystkich pism naszych? czy nasze słowo zbudzi choć jedno ostygłe serce? czy nasze deklamacyjne zaklęcia doprowadzą nas do celu? Nie! książka pójdzie na półkę, myśli będą przedmiotem pogadanki towarzyskiéj, autorowi przyznają dowcip, zdolność, i kobiéty, sądząc że słyszą od nas mniéj lub więcéj zręczne komplimenta, ukłonią się lub nachmurzą, i pójdą daléj swą drogą. Zdaje mi się że kobiétę tylko kobiéta dokładnie znać może, że my popaść musim w dwie ostateczności: albo uwielbienia albo potępienia bez granic; a jeśli tego unikniem, słowo nasze, *tylko słowo*, nie sprawi skutku o jakim myślimy. Wierzę, że kobiéta pójdzie za radą mężczyzny, że usłucha jego głosu i powierzy się jego opiece, lecz wtenczas tylko, gdy tenże sam mężczyzna, nim zacznie słowem wojować, okaże czynem swą wartość.

Tak panowie, kobiéta, owa istota słaba i płocha z pozoru, ma zmysł wielki, zdrowy, ma przeczucie, przez które wiele rozumié, choć często wytłumaczyć nie potrafi, ma światło, które każe jéj od mężczyzny czegoś więcéj wymagać jak słowa, które ją uczy że czyn, jeden czyn tylko, jest ozdobą i chlubą męzkiego rodu.

Napisz tysiąc powieści, pięćset poematów, zachwycaj śpiewem, tańcem, deklamacyą: doznasz względów kobiéty, zdobędziesz oklask, uśmiech i uściśnienie ręki; ale w razie niebezpieczeństwa, gdy taż kobiéta przytomność na chwilę straci, sam instynkt popchnie ją szukać obrony nie u śpiewaka, nie u tancerza, ale u człowieka czynu; przeciśnie się przez tłum i ujmie za ramię tego, kto choć nie zachwyca, ale uszlachetnia społeczeństwo.

My więc dla kobiét przedewszystkiém bądźmy żywym przykładem; by one nas usłuchały, potrzeba najprzód by nam wierzyły, a wiara zdobywa się nie jedném słowem, nie zaklęciem, ale postępowaniem całego życia.

Mówiąc to nie mam na myśli wyłącznie mężczyzn piszących, owszém występuję przeciw całéj rzeszy naszego rodu, która nietylko piórem ale mową, oderwanym wykrzyknikiem i niemym akcentem, radaby zakląć, potępić, a w końcu poprawić kobiétę. Nie utrzymuję że wszystkie rozumowania nasze o kobiétach są niepotrzebne; jako przedmiot artystyczny, jako treść literacka, jest ona najgodniejszą naszego pędzla i pióra; ale za cel wyłączny naszych moralizowań o tyle tylko służyć nam powinna, o ile jesteśmy przekonani, że wszystko zresztą dzieje się już dobrze, że jedne tylko kobiéty psują porządek świata społecznego.

Niepodobna tu nam licznemi przykładami poprzéć naszéj myśli; lecz skoczmy od Platona z jego utopijną rzecząpospolitą, aż do Michelet'a z jego bezduszną niewiastą. Na piérwszego oburzył się cały ród żeński, na jego zasady wzdrygnęła się dziewiczość, i ten mędrzec, który pragnął postępu, który wśród pogańskiéj świątyni przeczuł jednego Boga, omylił się bardzo, organizując społeczeństwo niewieście; na drugiego wszystkie kobiéty litośnie wzruszyły ramionami i nazwały go marzycielem. Piérwszy, pomimo całéj idealności swych zasad, pomimo że chciał aby w jego rzeczypospolitéj rządziły tylko sprawiedliwość, moralność i Bóg, obdarł kobiétę ze wszelkiéj godności i pozbawił ją wstydu, oddając pod wspólną opiekę mężczyzn; drugi chciał otoczyć kobiétę samą roskoszą, samém szczęściem gorącém, wieczném, bez łzy żadnéj. Tamten chciał dla kobiéty praw wzgardzonéj niewolnicy, ten zaś puchowy tron jéj zbudował, a nam kazał tylko różą i pomarańczą, tylko szybką z okna i gwiazdką z nieba płacić za to, że nas obdarzy zdrowém potomstwem. Oto patrzcie, dwóch mędrców, dwóch ludzi głębokiego umysłu, w jakie ostateczności popadło, biorąc się do przedmiotu, którego wszystkich stron nie dojrzeli! Wszędzie wielcy, tu karłami się stali.

Marzycielem grzecznie Micheleta nazwały kobiéty, a jeśli się podniósł głos zgrozy, to był on silny i stanowczy, tak uwierzono, że autor *La femme* jest człowiekiem obłąkanym na chwilę. Tymczasem tegoż samego autora, też same kobiéty uwielbiały przed kilkunastą laty za nieco słów prawdy, za kilka prostych myśli, jakie pomieścił w swojéj rozprawie o *wychowaniu kobiét w średnich wiekach*. Tam sympatyczny dla nas historyk powiedział, że największą ozdobą niewiasty, najświetniejszą jéj koroną, najwyższym zaszczytem jest godność dziewicy, jest miano matki. Tym prostym słowom przyklasnął cały ród niewieści. Michelet nic nowego nie powiedział, i zyskał oklask, a dziś tyle nasnuł nowości, i został wzgardzony. Czy to czasem nie dowód, że my tylko serdecznem uwielbieniem tego co zdobi kobiétę powinniśmy wpływać na poprawę drugiéj połowy rodzaju ludzkiego; że zaklęcia i kazania zostawiwszy właściwszym od naszych ustom, sami tylko głośną pochwałą i milczącą pogardą powinniśmy utrwalać cnoty i niszczyć występki?

A nie myślcie aby taka chwalba mogła nam ubliżać, owszem, ona nie wyzuwając nas z godności sędziego, okrywa najpiękniejszym blaskiem towarzysza tryumfu. Kobiéta emancypując się, zawsze czuje żeśmy dla niéj potrzebni, że bez naszego ramienia częstoby upaść i zbłądzić mogła; kobiéta lubiąc się bawić, chce i pracować; kobiéta chwaląc lalki salonowe, kocha tylko mężczyzn. Wierzę téż że kobiécie ze szlachetném sercem miło jest otrzymać pochwałę z ust mężczyzny którego szanuje, że każda z nich chlubi się naszą opinią, że każda do swego tryumfu pragnie naszego poklasku. Nagana mężczyzny, kobiétę rozgniewa, powstrzyma, ale w gruncie jéj nie poprawi; pochwała zaś uszczęśliwi ją, wzmocni i wyniesie nad tłum towarzyszek.

Nam więc przeznaczono bić czołem przed czystością, głębokim szacunkiem otaczać dobrą matkę i żonę, od skazy ustrzedz dziewicze serce; — do nas należy głośno uwielbiać to co zdobi kobiétę, a milczeniem i pogardą potępiać wszystko co ją szpecić może.

Jeśli mnie kto posądzi, że z góry założyłem sobie obronę niewieściego rodu, ja mu wówczas odpowiem, że kobiétę uważam za anioła, ale za anioła, który tylko pracą i trudem powinien zdobywać szczęście na ziemi.

Kobiéta aniołem, kobiéta naszém bóstwem! wszyscy powtarzają, a iluż między nami takich co godnie ją uczcić potrafią, co czystą ręką biorą dłoń dziewicy, co piérwszy pocałunek składają na czole kochanki?... Prawić morały kobiétom, które nas z czynów nie znają, to praca bezowocna; więc i ja, uchylając się od niéj, chętnie przyjmuję stanowisko ich obrońcy i zapaśnika z tymi, którzy wszystko złe naszego społeczeństwa zwalają wyłącznie na ród niewieści. Wszelkie zaś słowo zwrócone do kobiét, będzie słowem brata, który bez długich wywodów powié: to złe, popraw się; — ale wprzód radź się swojego serca, bo ono powinno być zawsze twym przewodnikiem.

Wiem że są między nami kobiéty, które pragną się widziéć w scenach pełnych sielskości, że sielanka z truskawek, ptasząt, bluszczu i zielonych żabek, to najpiękniejsza ramka dla ich wdzięcznego oblicza; wiem że wysłuchają wyrzutu i nagany, że wybaczą kaznodziei, jeśli to jest człowiek gustu, który nim wypowié prawdę, posadzi je na darniowéj kanapce i otoczy całą śpiéwającą i skrzeczącą naturą. Wiem że każda z nich, gdy w balowym stroju, piękna i pewna tryumfu, stoi przed lustrem i pieszcząc się swą postacią, potęgą wdzięków głuszy wszelki wyrzut wewnętrzny, pozwoli sobie mówić o marności świata, o celach wyższych, o grzechu Ewy i jéj całego rodu; że tegoż samego moralistę, któremu wczoraj uściśnieniem ręki dziękowała za słowa prawdy, jutro, po balu, gdy na twarzy będzie bladość a w duszy znudzenie, nie wpuści do siebie i oburzy się na jego chęć nawracania, bo wtedy znikła już ułuda, dla któréj sumienie usnęło. Wiem że radaby zostać na chwilę niewolnicą tego, kto karcąc ją za zapomnienie celów życia, przyznaje że godną jest posiąść całą roskosz, wszystko szczęście ziemi. Wiem że każda z tych kobiét nazywa się *kobiétą świata*; nie do nich téż zwracam swe myśli, nie one stoją mi na oczach. Kobiéta świata pragnie i stara się by ją ganiono, bo grzechy jakie prostota jéj wyrzuca, uważa za swą ozdobę, i im tych grzechów więcéj, tém czuje się godniejszą. Kobiéta świata nie lęka się by ją mógł kto zawstydzić, bo wstyd ten tylko posiada, kto w grzechu nie dojrzał wdzięku.

Przemawiam więc tylko do kobiét, które dumne są z tego, że się urodziły Polkami, przemawiam do siostr swoich, które rumienić się potrafią patrząc na lalki postrojone, będące ozdobą *wybranego* towarzystwa.

Nie zgadzam się z poetą, który wyrzekł że my rządzim światem, a nami kobiéty. Poeta wielce się pomylił, jeśli pisząc swe słowa czuł że stoi na ziemi, bo tak w rodzinie, jak w społeczeństwie, tylko mężczyzna jest tym przewodnikiem, co prowadzi nieomylną drogą. Za dużo do dziś było deklamatorów, którzy idąc za zdaniem innych, lub leniąc się zbadać rzecz zupełnie, pisali hymny oddzielnego rodzaju na cześć kobiéty, oddawali jéj berło panowania i głosem wyroczni krzyknęli: ty nas prowadź, ty nami kieruj! Te głosy słabych lub niedołężnych pieśniarzy bynajmniéj nie powinny pochlebiać kobiétom; one wiedzą i czują dobrze, iż mężczyzna dla nich jest pomocą i obroną; z czegoż więc mają rosnąć w dumę, jeśli ci, których one dobrowolnie, za popędem wewnętrznego głosu, uznały swemi panami, przychodzą z pokorą niewolników i zamiast powitania i szlachetnego hołdu, oddają im czołobitność poddanego? Nie, kobiéta nie pysznić się tém, ale martwić powinna, boć stokroć przyjemniéj być towarzyszką swojego pana, aniżeli zostać panią tego, który wyzuwa się ze wszystkiéj godności, który mogąc panować, dobrowolnie zrzuca z siebie ten szlachetny ciężar i idzie w jarzmo służalstwa.

W wiekach średnich świat rycerski poświęcał się dla niewiasty, i dziś świat nasz męzki pali jéj kadzidła; lecz wówczas zapał i uwielbienie niekłamane, dziś lenistwo i bezmyślność rządzą sprawami rycerzy. Dawniéj staczano walki za honor, za cześć niewiasty; dziś za jéj honor nikt nie stanie do boju, a hołd i zachwyt mężczyzna okazuje tém, że zamknąwszy się w obrębie działań zewnętrznych, kobiécie powierza cały ciężar wychowania dzieci, opieki nad domem, troskliwości o przyszłe pokolenie.

Od najdawniejszych czasów mężczyzna wszędzie i zawsze trzymał bieg spraw ziemskich, jego silne ramię kierowało okolicznościami, jego szeroka pierś zasłaniała dom i kraj od burzy i nieszczęść. Mężczyzna na to stworzony, aby był stróżem praw człowieka, na to ma rozum, aby przewodniczył rodzinie, na to serce, aby potrafił ocenić swą dozgonną towarzyszkę.

Narzekamy że rodzina upada, że matki niegodnie zapominają swych świętych obowiązków; a jednakże stróżem rodziny widzim tylko kobiétę. Zdaje się żeśmy się sami zupełnie odsunęli od opieki nad dziećmi, żeśmy się wysłali na zarobek chleba, na zdobycie tylko tego, co ciało nasze nakarmić i utuczyć może. Mężczyzna dziś uważany jest za człowieka, który dziewicy zapewnia tylko byt, który żonę nakarmi i odzieje, który za dzieci szkołę opłaci; mężczyzna tak nizko już dzisiaj zeszedł, że znamy go jako obywatela lub urzędnika, ale charakter ojca i naczelnika rodziny zgoła w nim zatarty.

Straciliśmy wiarę w swoje powołanie; poddaliśmy się dobrowolnie pod kierunek rodu niewieściego, na kobiétę złożyliśmy ciężar całego życia, a sami cieszym się jeśli dostatek w domu, swoboda za domem. Mężczyzna przybrał rolę materyalisty, całą duchowość zostawiając kobiécie; zapomina, że razem powinni wznosić ducha, rozwijać serce i postępować naprzód drogą pracy i myśli!

Nie dziwmy się że syn, widząc podrzędną rolę swojego ojca, nie ma odwagi myślą sięgnąć wyżéj i obudzić się z uśpienia; nie dziwmy się że żona wtenczas błądzi, gdy mąż oddany własnym przyjemnostkom; że mężczyzna, nie wierząc w swoje stanowisko, hołduje tylko takiéj kobiécie, którą posiąść może bez trudów, starań i zabiegów.

Mężczyzna powinien stać na granicy kraju i na progu domu, powinien wszystko rozpoznać, wszystko ocenić, wprzód nim kobiéta się zbliży; mężczyzna powinien być panem, ale panem z dojrzałym umysłem, ze szlachetném sercem, z czystą dłonią i pogodném czołem.

Nie wezmą mi za złe kobiety, że tak podniosłe i piękne stanowisko daję rodzajowi męzkiemu, ucieszą się że ich braci i mężów chcę widziéć w roli przewodników, w roli godnéj ludzi obdarzonych potęgą ducha i siłą ramienia. Zdaje mi się że rozumna żona tylko rozumnym mężem szczycić się może; że szlachetna dziewica nie pokocha młodziana, który bez zdania, bez młodości, bez wiary w przyszłość, poddaje się losowi i zasypia tam, gdzieby czuwać należało. Wierzę iż żadna z kobiét nie gardzi opieką tego, kto ją prowadzi do ołtarza i przysięga wiarę, miłość i pomoc dozgonną.

Panowanie dla mężczyzn, a dla kobiét — ileż pięknych obowiązków zostaje? One w naszym domu są tym aniołem, który czuwa nad kolebką dziecka, który skrzydłem opieki osłania męża, — one spełniają to co im chrystyanizm przeznaczył: *poświęceniem walczyć, miłością zwyciężać.*

Mężczyzna pracuje i trudzi się rządami świata, czuwa dniem i nocą, a gdy go siły opadną, gdy myśl osłabnie, gdy szuka pomocy i natchnienia, wy jednym uściskiem, jednym uśmiéchem i podaniem dłoni wskrzeszacie w nim życie, budzicie zapał i wiarę do nowych trudów. Tylko modlitwa potrafi tak odżywić, tylko spojrzenie w niebo potrafi tak podnieść; wy téż kobiéty poświęceniem swojém modląc się i za nas, wskazujecie strony, które kiedyś zamieszkamy, wskazujecie wyższy i jedyny cel życia.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

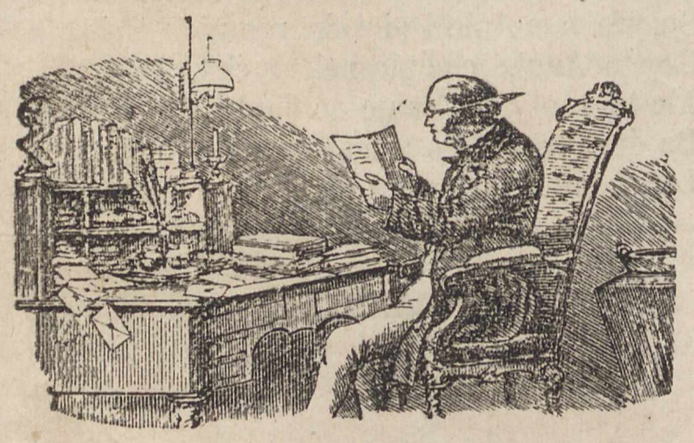

Pana F. Ko. z nad Rosi upraszamy o nadesłanie nam dokładniejszego adresu.

Pan J. H. z Pr. zbyt skromnie pracę swą ocenił. Jest tam i humor, i dar postrzegawczy; triwialność tylko formy nie pozwala nam na ten raz drukować jéj w Tygodniku.

Paniom Zofii z K. N. i Bronisławie K. w St. dziękujemy najuprzejmiéj za pamięć. Zmuszeni wszakże jesteśmy i tym łaskawym korrespondentkom naszym, jako téż *pp. J. K., Ag. K. J. W., D. de Ch.*, tudzież wszystkim w ogólności, którzy zbyt hojnie wiérszami obsypywać nas raczą, — powtórzyć to, cośmy już nieraz wyrazili: że *tylko piérwszorzędne poezye* w piśmie naszém znaleźć mogą pomieszczenie.

Panu A. K. w Kamieńcu podolskim. Dwa widoki fotograficzne Kamieńca, a mianowicie: widok ogólny miasta i widok kościoła oo. trynitarzy, redakcya inną już drogą odebrała. Dobre ich opisy przyjmie z wdzięcznością. Co do warunków porozumiemy się listownie.

Zaufanie pana J. H. L. i innych korrespondentów, jak z jednéj strony pochlebném jest dla nas, tak z drugiéj stawia nas w konieczności oświadczenia, że nawał zatrudnień nie pozwala nam, mimo chęci najszczerszéj, oceniać utworów nie dla Tygodnika przeznaczonych. Na ten raz jednak, wyjątkowo, zgadzamy się na nadesłanie wzmiankowanéj pracy i postąpimy z nią według uznania.

Panu L. N. w Radoszewicach. Nadesłany artykuł postaramy się wkrótce wydrukować. O dalsze współpracownictwo najuprzejmiéj upraszamy.

Panu S. F. w Nowym Sączu. Pielgrzymka Polaka po Kalifornii mało zawiera szczegółów zajmujących i nowych; przedmiot to już zużyty. Zwrócimy tę pracę osobie przez pana wskazanéj. Opisy okoliczności krajowych o tyle będą pożądane, o ile obrobienie ich okaże się odpowiedniém.

ANULA.

POWIEŚĆ WIEJSKA,

przez

J. LASKARYSA.

(Wyjątek).

I.

Tak już wioskowi śpiewacy, poeci,
Wioskowe dzieje wyśpiewali tkliwie,
Tak każda wioska poetycznie świeci,
Tak w niéj tam pięknie, mądrze i cnotliwie,
Że pragnąc znaleźć drugi raj na ziemi,
Pragnąc oczyścić zapleśniałe serce,
Dość jest zapłakać łzami wioskowemi,
Lub się zakochać w niewinnéj pasterce!
Lecz rzeczywistość.... o Boże mój! Boże!
Tylko łzą smutku zamgli nasze oczy,
Że tam inaczéj, że tak być nie może,
Że śpiew lirników, chyba śpiew proroczy.
O! bo pod cieniem nędzy i ciemnoty,
W stanie natury grunt zboża nie rodzi,
Na niwie życia nie zakwitną cnoty,
Gdzie kąkol ucisku wschodzi.
A jednak, jednak, jak z nieba chmurnego
Promień słoneczny strzela niespodzianie,
Tak gdy duch zstąpi na człeka prostego,
Geniusz z prostaka powstanie:
I rybak boskie piérwszy pojmie słowa,
I słabe dziéwczę zgromi najezdnika,
I kochać będzie wiejska białogłowa
Sercem poety, duszą męczennika.
Wybranych mało.... Nim światło dziejowe
Zbudzi te serca co dziś sen kołysze,
Nim czas rozjaśni umysły wioskowe,
Ja ci *prawdziwe* zdarzenie opiszę.

II.

Na czas i miejsce nie zważaj zbytecznie,
A brak szczegółów niech cię nie zniechęci,
Lecz gdy o dacie chcesz wiedziéć koniecznie,
Wiedz że to było za naszéj pamięci.
O parę stai od Wilii brzegu,
Wśród usianego kurhanami boru,
Stała wioseczka z chatami w szeregu,
Tuż po za drogą wiodącą do dworu.
Piękna téj wioski była okolica:
Na wzgórzu zdala świecił dworek biały,
Z boku płynęła rzek naszych rodzica,
Po stronach sosny stuletnie szumiały.
Cudne w tém miejscu Wilii wybrzeże,
Urwiste, nagie i dzikie jak skała,
Po któréj żadne nie wspina się zwierzę
I nigdy ludzka noga nie postała;
U góry tylko wyrwane z korzeni
Kręte konary zwieszają sosniny,
Czołem nad wodą zawisłe w przestrzeni,
Zda się z łoskotem runą do głębiny;
Tylko granity podkopane wodą,
Stoczą się czasem na dno modréj toni
I szumne z sobą rozhowory wiodą,
Gdy po nich fala za falą pogoni.
Po drugiéj stronie, z nad dachu kościoła,
Migała słońcem pozłacana wieża,
A echo leśne dzwoniło śród sioła,
Gdy dzwon wieczorny wzywał do pacierza,
Pięknie tam było, lecz tęskno zarazem:
Bo i szum boru, i cichy szept fali,
I kurhan niemym wymowny wyrazem,
I tam, za rzeką ginące gdzieś w dali
Szerokie pola, pastwiska rozległe,
I ów kościołek stary murowany,
Gdzie czas niejednę wykruszył już cegłę,
Wszystko wzniecało jakiś żal nieznany,
Myślą człek błądził po górnym błękicie,
Czuł że tu pięknie, ale nie to, nie to,
Mało dla duszy, jest piękniejsze życie,
Tu tęsknić trzeba, trzeba być poetą.
Więc tu i nóta wioskowéj piosenki
Smutniejszą była niż stron innych śpiewy,
I w twarzy chłopców jakiś wyraz miękki,
I łza pełniejsza w modrém oku dziewy.

III.

Dworek na wzgórzu i owa wioszczyna
Część stanowiły wielkich posiadłości,
Władała niemi szlachetna rodzina,
Znajoma w kraju z odległéj przeszłości;
Jednak, że fundum było gdzieś daleko,
Mały folwarczek puszczał się w dzierżawę,
A zwan Zarzeczem, bo leżał za rzeką
Względnie dóbr głównych. Possessor miał prawe,
Uczciwe serce, nie gnębił rolników,
Więc każdy wieśniak był tutaj bogaty,
Nie brakło zboża, bydła i koników,
A niby dworki wyglądały chaty.
I wioska żyła przyjaźnie ze dworem,
Czy siano zebrać, czy przyśpieszyć żniwo,
Niéma rachunku z panem possessorem,
Bo ludność duża, praca idzie żywo,
A zgoda wszędzie, wszystko z wspólnéj rady
Stanowią starzy, zebrawszy się wiecem,
I dobrze w wiosce, ni nędzy, ni zwady,
Jakby doprawdy u Boga za piecem.
Tak przeszły długie lata a szczęśliwe,
Possessor zżył się jak ojciec z włościany;
Ale dziś wieści dochodzą trwożliwe:
W Zarzeczu jakieś nastąpią odmiany.

IV.

W chacie Cześniuka, co był wójtem w gminie,
Wieczorną porą czeladź się zebrała:
Agata na stół stawiła naczynie,
Bochenek chleba na porcye krajała;
Koło niéj dziatwa kręciła się żywa,
Mały pastuszek robił łapcie z łyka,
Jakób smolaki szczépał na łuczywa,
Ewa przy piecu końcem połonika (*)
Z kipiących garnków zgartywała pianę;
A tuż przed piecem ciepłem przywabione
Siedziały obok dwa kundle zaspane,
Grzejąc poważnie głowy pochylone.
Z różańcem w ręku szeptała pacierze,
Leżąc na piecu, stara Małgorzata,
I wciąż śledziła czy dają wieczerzę,
Czy już się cała zgromadziła chata.
W schludnéj téj izbie znać było dostatek:
Na łóżkach czyste w porządku pościele,
Kubły i skrzynie, skład córek i matek,
Gdzie czepki, chustki noszone w niedzielę;
Na ławie w kącie niecułki, dojnice,
Wiaderko z wodą, czerpaczek drewniany,
A nad tém wszystkiém szerokie police,
Garnki i miski, kociołek miedziany;
Nad łóżkiem Ewy dwa obrazki święte:
Chrystus ze trzciną w cierniowéj koronie,
Najświętsza panna, Jéj szaty pomięte,
A siedem mieczów tkwi w skrwawioném łonie.
Na oknie krzyżyk drewniany, maleńki,
Na nim figurka z blaszki pordzewiała,
Ubrana przez pół w tiulowe sukienki
I w małe wianki z dni Bożego Ciała.
Nie brakło w chacie ozdoby i sprzętów,
Bo Cześniuk bogacz był na całą gminę,
Nie miał we dworze żadnych remanentów,
A, jak mówiono, krył rubli ośminę.
Ale największym bogactwem oracza
Była Anula, córeczka jedyna,
Uosobiona poczciwość wieśniacza
I najpiękniejsza we wiosce dziewczyna.

V.

O, miło patrzéć na takie stworzenie,
Gdy siedzi, przędząc, przy swym kołowrótku:
Rumiane liczko, łagodne wejrzenie,
Na ustach uśmiéch dobroci i smutku;
Ząbki bialutkie, a nad gładkiém czołem
Wiją się złote, kędzierzawe włosy,
Co po za główką, obiegłszy ją kołem,
Spadają w długie zaplecione kosy.
Takich warkoczów, z włosmi tak pięknemi,
Niejedna wielka pani pozazdrości,
Bo gdy rozplecie, to sięgają ziemi,
Bo niéma równych w pośród całéj włości.
Oczy jéj żywcem wykrojone z nieba,
Łagodne, jasne jak letnie błękity,
A kiedy spójrzą, to w nie patrzéć trzeba,
To staniesz w miejscu, jakby w ziemię wryty.
W całéj twarzyczce taki wyraz cudny,
Tyle rozumu, słodyczy, tęsknoty,
Iż gdy ją ujrzysz, to domysł nietrudny,
Że i jéj duszy tak piękne przymioty.
A wiotka, kibić w bielutkiéj koszuli,
A drobna nóżka niby utoczona,

(*) Tak się nazywa wielka drewniana łyżka.

A małe rączki wieśniaczki Anuli,
Zawsze niezwykłe w téj klassie znamiona,
Mówiły tobie że taka istota
Musi być tylko gościem na nizinie,
Że ta niebieska na świecie sierota
Jak chmurka przyszła, jak chmurka odpłynie.
Wiele w Zarzeczu jest dziewcząt [nielada,
Hożych, wesołych, kraśnych co [się zowie,
Lecz gdy w ich gronie Anula za- [siada,
Są jak służebne przy swojéj kró- [lowie;
A że dość rzadko dzieli ich zaba- [wy,
Że najwątlejsza wśród wiosko- [wych dziewek,
Z daleka igrzysk unika z obawy,
Nie lubi słuchać zbyt wesołych [śpiewek,
Dziewki ją skrycie nazywają pa- [nią,
Zazdroszczą wdzięków, lecz sza- [nować muszą,
I za jéj wyższość między sobą ga- [nią,
A ona od nich tylko wyższa du- [szą.

VI.

Już w małém dziecku znać było [różnicę,
Która ją dzisiaj odznacza od in- [nych:
Kiedy biegały Andzi rówieśnice
Ulicą wioski wśród zabaw niewinnych,
Kiedy pod lipą siadłszy na kamieniu,
Patrzały jako chłopcy idą w dążki,
Lecą do mety w dzikiém upojeniu,
Kijem wstrzymują wypuszczone krążki;
Wtenczas Anula szła zwolna do lasu
Na wiejski cmentarz, gdzie dziadka mogiła.
Tam miała kwiatki zerwane zawczasu
I niemi mały krzyżyczek stroiła;
A piosnka jakaś rwała się z jéj łona,
Bez słów, na tony tęskne i ponure,
Jakaś piosenka na ziemi stracona,
Gdy chór aniołów odlatywał w górę.
Albo téż głębiéj zaszedłszy w gęstwinę,
Aż na brzeg rzeki, nad nagie urwiska,
Siadała nieraz na miękką darninę,
Z kurhanu Wilji przyglądać się zblizka,
I modre oko topiąc w modréj toni,

CHŁOPCY BAWIĄCY SIE W DĄŻKI.
Rysował Podbielski podług Andriollego, rytował Kübler w drzeworytni Tygodnika.

Nóżkę na nóżkę zakładała drobną,
A główkę wsparłszy na malutkiéj dłoni,
Była do bóstwa marzenia podobną....
Gdzie jéj myśl błądzi, nie powié dokładnie;

ANULA.
Rysował Andriolli, rytował Kübler w drzeworytni Tygodnika.

Czy na dnie fali z rybkami się zwija?
Rybkom tak lekko, przestronnie, swobodnie,
Tak cicho woda o brzeg się odbija.
Czy, gdy się główka do góry podniesie,
Biegnie za jasnym, majowym obłokiem?
Czy za ptaszkami co szczebiocą w lesie?
Czy téż dalekim zwabiona widokiem,
Sięga gdzie niebo do ziemi się chyli?
Gdzie może lepiéj, bo się ziemia kończy,
Gdzie może piękniéj, bo tam my nie byli?..
Gdzie myśl Anuli?... łza z oczu się sączy,
Serduszko małe gwałtownie uderza,
Zaśpiewać chce się, niemoc śpiew zagłuszy,
A pieśń być miała piosenką przymierza
Z harmonią świata, co odbrzmiewa w duszy....
I wraca dziécię pod strzechę rodzinną,
Ale jéj myśli zostały nad falą.
O! kto tak duszą raz poczuł dziecinną.
Temu pierś ognie młodości prze- [palą!
Z wiekiem w Anuli wzrastała [tęsknica,
Miłość natury, ciszy, samotności;
Ale gdy tęskni, to kocha dziewica,
Lub żyje cała przeczuciem miło- [ści...
Nikt wszakże sercem nie włada [wójtówny,
Darmo się różne stręczą parob- [czaki,
I Michał Zwirblis, co wielce wy- [mówny,
I Maciéj Mikul, ów wzór hajda- [maki,
I nawet Grześko, co z bogactwa [słynie;
Anula wszystkich przyjmuje je- [dnako,
Śmielszego zawsze zdaleka omi- [nie,
A różnie mówią czego to oznaką.
Zazdrośne dziewki dowodzą: chce [pana!
Staruszki szepcą: ależ jeszcze [młoda!
Chłopcy: nie wiécie, skrycie za- [kochana!
Nieszpetna dziéwka, doprawdy [że szkoda!
Anula dotąd nie znała kochania,
Jeszcze jéj serce tém biciem nie biło,
Czasami tylko w godzinach dumania
Coś się o pięknym młodzieńcu roiło,
Który był w biédnéj dziewce zakochany,
Zbroję miał jakiéj kula nie przeszywa,
Anielskie skrzydła, blask w twarzy nieznany,
Słowem, jak rycerz, co to w bajce bywa.
Swat już niejeden przyprowadzał chłopca,
Ale każdego odprawiała z niczém;
Tylko dla Janka nie tak była obca,
Co się swém bladém odznaczał obliczem,
Lubił zdaleka patrzyć na Anulę,
Nieraz ze skrzypcą po wioskach plądruje,
Grywa wesoło, to śmiesznie, to czule,
Śpiewa samotnie i piosnki rymuje.
Często Anula jego piosnek słucha,
Ale tęsknoty nie czuje do Janka,
Bo duch bratniego wnet odgadnie ducha,
Lecz nie tak dziewczę przeczuwa kochanka.

SZACHY.

ZADANIE XXV.

(*S. B. w Warszawie*).

Białe zaczynają i dają mata za trzeciém posunięciem.

Czarne.

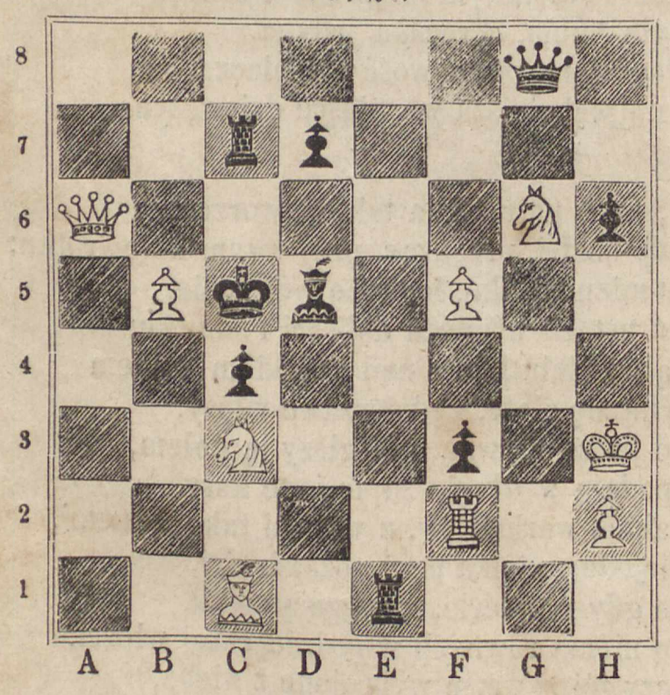

Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 24.

Białe.	*Czarne.*
1) B 3 — D 5 † . . .	3) C 5 — D 5 bierze
2) Król roszuje † i mat.	

Gdy czarne zasłonią króla koniem, to królowa bierze go i mat.

REBUS.

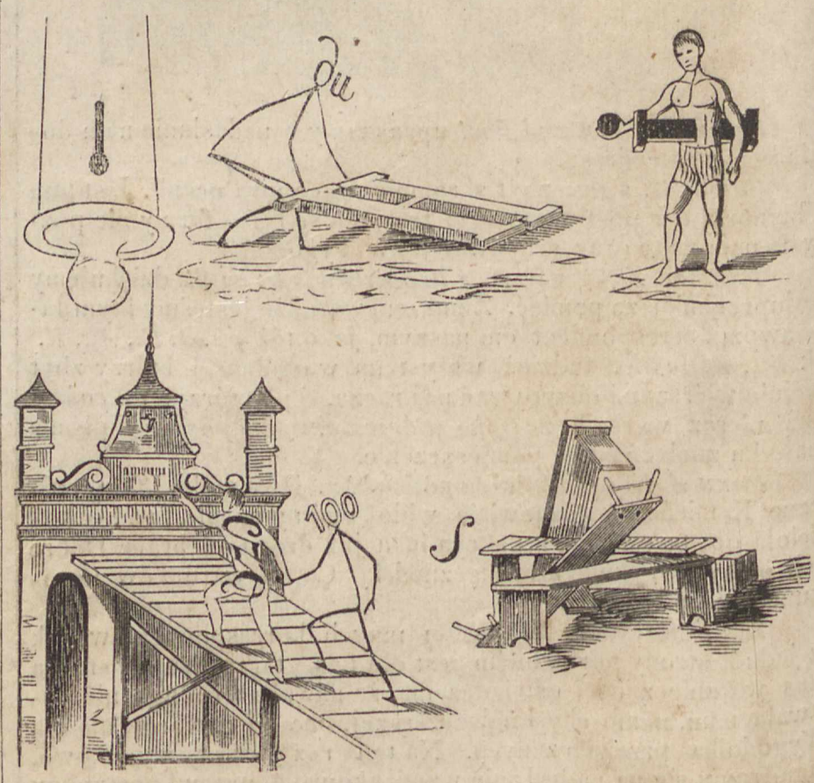

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 32.

Dyrektor muzyki w dolinie szwajcarskiéj starania dokłada, aby egzekucya orkiestry jego nic nie pozostawiała do życzenia.

W Drukarni J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 30 kwietnia (12 maja) 1860 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*

Redakcya przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391 w domu PP. Wizytek.